



## Marcus Sedgwick „Królowa cieni”

### Fragment

1

#### W leśnych ostępach

Gdy upadł po raz piąty, gdy zarył twarzą w głęboki śnieg, gdy dłonie zaczęły go palić z zimna, choć stało mu się to już obojętne, drwał Radu zrozumiał, że wkrótce umrze. Gdzieś za plecami, w mrocznym lesie, słyszał człowieka, który go ścigał. Bał się. Ze strachu niemal zdrętwiał, zmarł tak, że prawie nie mógł biec, ale wiedział, że dzieje się coś złego. Coś, co nie powinno się było zdarzyć.

Wstał i desperacko pobiegł dalej, sypiąc spod stóp małe fontanny śniegu. Nawet tu, w leśnym gąszczu, na ziemi zalegały grube zasy, którym wschodni wiatr nadał kształt dziwnych pagórków i rozpadlin. Wyglądały jak zwierzęta przyczajone u stóp brzoź.

Radu się obejrzał, ale niczego nie dostrzegł. Niczego oprócz ogromnej puszczy. Powiadano, że można przejechać z Polski do Turcji, nie tracąc z oczu linii drzew, ale wiedział, że to niemożliwe. Żaden las nie mógł być tak duży. Nawet Matecznik.

Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując ze skupieniem, ale ciszę mącił tylko jego ciężki oddech, tłoczący powietrze w obolałe płuca. Radu nie wiedział już, gdzie jest, choć znał ten las przez całe życie. Zostawił daleko swoją chatę i wioskę. Wyteżył wzrok, lecz widział tylko tysiące srebrzystych brzoź. Trzasnęła gałązka. Obejrzał się z przerażeniem i ujrzał prześladowcę. Wtedy zrozumiał, co było w nim złowieszczonego.

– W imię Boga i Lasu...

Ledwie wybrzmiały tłumione przez śnieg słowa, Radu rzucił się do ucieczki, wpadając na drzewa. Dłoń zostawiła smugę krwi na białej jak papier brzozowej korze, jednak nie czuł bólu. Niedawno jeszcze ścinał drzewa toporem. Ten topór leżał teraz w śniegu, z ostrzem splamionym zlodowaciałą krwią. Jego krwią. Wpadł na dwa kolejne drzewa, ale jakby tego nie zauważył. Nagle rozpoznał okolicę. Był nieopodal Chust. W chacie pod wsią mieszkał człowiek, którego znał – drwał Tomas. Na chwilę błysnęła mu iskierka nadziei. Ruszył biegiem w stronę wioski leżącej tuż pod lasem. Nie słyszał już za sobą kroków prześladowcy. Ale raptem wpadł prosto na niego.

Mężczyzna był niewysoki, lecz nalany. Wzdęty. Skórę miał bladą jak kora okolicznych drzew. W kącikach spierzchniętych warg zaschła mu krew. Radu poznał go dopiero teraz. Cofnął się o krok. Podbite futrem buty ugrzęzły w kopnym śniegu. Potknął się o jakiś niewidoczny korzeń, ale nie stracił równowagi. Wskazał palcem mężczyznę.

– Willem! Przecież ty umarłeś!

Tamten skoczył na niego i zagłębił rękę jak nóż w piersi Radu, sięgając do serca.

– Przeszło mi – powiedział.

I teraz to Radu padł martwy w puch śniegu.

2

## Śliwowica i śnieg

Peter, trzęsąc się z zimna, brnął przez zaspy w ślad za ojcem w stronę Chust. Oddalili się już od chaty, która stała poza granicami wioski. Do wigilii świętego Andrzeja było jeszcze parę dni, a już napadało sporo śniegu. Zapowiadała się ciężka zima. W mroźnym powietrzu wisiał ciężki zapach ojca Petera; nawet porywisty wicher nie rozwiewał oparów śliwownicy i piwa.

– Dobrze znałeś Radu, ojcze? – odezwał się Peter, tylko po to, żeby przerwać ciszę. Choć ojciec milczał, syn znał odpowiedź. Nikogo dobrze nie znali – nigdy nie przebywali w jednym miejscu na tyle długo, żeby się z kimś zaprzyjaźnić. Ale Peter wiedział, że w zeszłym roku ojciec pomagał parę razy Radu, drwalowi z Koroceni. Czasami nawet najwięksi samotnicy potrzebują pomocy w ścinaniu wielkiego drzewa. Wioska była tuż-tuż.

– Pospiesz się – rzucił Tomas. – Nie będą na nas czekać.

– Chyba nie zaczęli – odezwał się Peter. – Nie słyszę kościelnych dzwonów.

Ojciec splunął w śnieg, ale się nie obejrzał.

– Na pogrzebie samobójcy nie bije się w dzwony.

Wszedł do wioski przez niską furtkę w otaczającym Chust rozchwianym brzoźowym płotku. Sztachety, sięgające kolan i przetykane wystającą tu i ówdzie słomą, miały zagradzać drogę kurom. Płot obejmował osadę pierścieniem: dalej, oprócz paru pól, znajdowały się tylko drzewa. Gdzieś tam umieszczono w nim furtki podobne do tej, przez którą przeszedł Tomas. Peter zawahał się, zdenerwowany, nim podążył za ojcem. Nie chodziło tylko o to, że mieszkańcy wioski ich nie lubili.

– Samobójcy?

Pobiegł za Tomaszem, szybko go doganiając. Pod stopami mieli zamrożone błoto i śniegową breję, a ojciec, jak zwykle, ledwie trzymał się na nogach.

– Cicho! – rzucił Tomas, łypiąc na niego spode łba.

Skinął głową w stronę chat. Peter zrozumiał, że nie powinien się być odzywać. Trudno. Przywykł do milczenia i samotności. Za sprawą małomównego ojca większość rozmów prowadził sam z sobą.

Dwie złośliwe staruszki stały w cieniu niskiej bramy. Szeptały do siebie i popatrywały na Tomasa, masywnego mężczyznę, który przedwcześnie się zestarzał, oraz na silnego, młodego chłopca – jego syna.

Peter wiedział, że nie są lubiani w wiosce. Zresztą miała ona w sobie coś dziwnego, niepokojącego, niemal złowrogiego, choć nie potrafił tego nazwać. A jednak Tomas osiedlił się właśnie tutaj. Szczerze mówiąc, Peter także chętnie zamieszkał pod Chust. W końcu po tylu latach wędrówki zapuścił korzenie. No i poznał Agnes.

Szli pospiesznie po łagodnym spadku wiodącym do miejsca zwanego na wyrost rynkiem, jakby było to jakieś wielkie miasto na południu, a nie zapomniana przez Boga, zabita deskami dziura. Choć Chust zamieszkiwało nie więcej niż dwieście osób, na placu stały nie chaty, lecz murowane domy, a wśród nich nawet kilka piętrowych budynków. Peter wypatrywał Agnes, ale nie był to dzień na spacer, jeśli nie miało się sprawy do załatwienia. Minęli ulicę, przy której mieszkała z matką, nadal noszącą żałobę po śmierci męża. Peter zwolnił kroku, szukając wzrokiem dziewczyny, ale jej nie zobaczył.

Po drugiej stronie placu biegła mała ścieżka, wciśnięta między dwa spośród większych budynków w wiosce: domy popa i felczera. Prowadziła do cerkwi na wzgórzu. Widać już było zapadnięty dach i podobną do cebuli kopułę usadowioną na budynku jak dziecko na świni. Ku zaskoczeniu chłopaka ojciec ruszył w przeciwną stronę.

Peter stanął – a potem zrozumiał. Powinien był wiedzieć. Nie dla samobójcy dzwony i pochówki w poświęconej ziemi. Ruszył dalej szybkim krokiem. Ojciec był już niemal na krańcu wioski.

– Uważają, że się zabił?

Tomas nie odpowiedział.

– Ojczy?

Drwal przystanął i obejrzał się za siebie – patrzył jednak nie na syna, lecz na jakiś nieokreślony punkt ponad jego ramieniem.

– Znaleźli go powieszono na drzewie. Czyli się zabił. Przydarzało się to już i innym samotnym drwalom.

Peter uświadomił sobie pewną rzecz.

– Dlaczego nie pochowają go w rodzinnej wiosce?

Ojciec stęknął.

– Bo się zabił. Nie chcieli zabrać ciała. Powiedzieli, że umarł na ziemiach Chust, więc to my powinniśmy go pogrzebać.

– A my się zgodziliśmy?

– Jacy "my"? Nie ma żadnych "nas" – zirytował się Tomas. Potem westchnął. – Nie było wyboru.

Mogli go pochować albo zostawić wilkom. Zresztą tak rozkazała starszyczyna.

Wyszli już z wioski: przez drzewa małego zagajnika widzieli parę osób zebranych na polance. Peter pomyślał o Radu i jego śmierci. Ojciec zarzucał synowi, że żyje w świecie fantazji... a jednak wyobraźnia zawodziła Petera, gdy chłopak próbował zrozumieć, co spotkało Radu. Nie były to zresztą miłe myśli. Raczej koszmarne.

– Ale ojciec – szepnął. – Powiedziałeś, że pierś Radu była rozdarta, a serce przebite.

– Powiedziałem.

– Sam sobie tego nie zrobił. I nie powiesił się potem na gałęzi.

– Więc musiało go to spotkać później.

– Twierdzisz, że ktoś okaleczył Radu po śmierci? Kto? Dlaczego?

Tomas wzruszył ramionami.

– Wilki...?

Peter już miał odpowiedzieć, ale przyszło mu do głowy, iż ojciec udaje, że nie rozumie.

– Słuchaj, synu. Jeśli człowiek wisi na drzewie, to się zabił. Jeśli Anna powiedziała, że tak było, to tak było. Nie wtrącaj się!

Peter nie był zadowolony, ale więcej się nie odezwał. Zauważył, że coś gnębi ojca.

Podeszli do żałobników. Stał wśród nich pop Daniel i felczer Teodor, ni to doktor, ni to znachor. Radu, prosty drwal, nawet nie pochodził z tej wioski, a jednak na pogrzebie zjawili się jej dwaj najważniejsi mieszkańcy. Co ich sprowadziło? Nie przepadali za sobą. Ludzie często szukali duchowego wsparcia u felczera, nie w cerkwi... i równie często modlili się o zdrowie z popem, zamiast odwiedzić znachora. Każdy z nich musiał znosić drugiego. Niełatwe przymierze.

W pewnym oddaleniu stał kościelny, staruszek o mocnych rękach, lecz niewielu zębach. Było jasne, że bez zachwyty wypełnia swoją powinność. Z trudem wykopał płytki dół w zamarzniętej ziemi, oparł się o wysoką łopatę i z zaciśniętymi ustami spoglądał wilkiem spod szerokiego ronda kapelusza z czarnego filcu.

Śnieg nadal prószył. Tomas skinął głową obecnym. Obcy nigdy nie byli tu mile widziani i nie miało znaczenia, że Tomas i Peter dobrze wykonują swoją pracę. Byli dziwni. Ojciec pił, wszyscy o tym wiedzieli, ale miał w sobie coś zwracającego uwagę. Może chodziło o jego sposób bycia. Poza tym mimo obrzmiałej od alkoholu, zaczerwienionej twarzy i zamglonych oczu zachował bujną czarną czuprynę.

Syn Tomasa był niedoświadczonym młokosem. Włosy miał jeszcze ciemniejsze i gęstsze, skórę gładką i smagłą, jakby pochodził z południa, oczy zaś ciemnobrązowe jak turecka kawa. Był silny, ale nerwowy, wrażliwszy od ojca. Niewielu mieszkańców wioski zadawało sobie pytanie, co się stało z matką chłopca, lecz bez wątplenia delikatność odziedziczył po niej.

Peter pogrążył się w rozmyślaniach. Wilki nie mogły rozszarpać piersi wiszącego na gałęzi Radu. To nie miało sensu. Ktoś musiał z wielką siłą przebić mu serce, a potem powiesić ciało na drzewie. Ale po co? Mordercy na ogół starają się ukryć zwłoki ofiar. Skąd ta ostentacja?

Peter uznał ją za ostrzeżenie. Ostrzeżenie przed śmiercią krążącą po tym lesie. I miał rację.

Więcej na [www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)